Cena pojedyńczego nr. 30 gr.
Rok I. Radom, Styczeń 1925 r. Nr. 4.

FILARETA

MIESIĘCZNIK K. M. „FILARECJA" GIMN. PAŃSTW. IM. J. KOCHANOWSKIEGO w RADOMIU.

DLA CIEBIE POLSKO i DLA TWOJEJ CHWAŁY!

Kto odrzuca mądrość i karność nieszczęśliwy jest, a prace i sprawy jego są bez pożytku.

Ks. Mądrości.

Chłopcy!

Każdy człowiek, od najwcześniejszej swojej młodości, musi się powoli przygotowywać do życia społecznego, do pracy społecznej, w której powinien brać udział. Szczególnie Rzeczpospolita Polska, wykazująca wskutek długiej niewoli bardzo słabą kulturę warstw niższych, od swoich obywateli tej pracy społecznej wymagać musi.

Ażeby te prace, do której w przyszłości będziecie się musieli się zabrać z całym zapałem młodzieńczej duszy, wydała odpowiednie rezultaty, trzeba się do niej należycie przygotować. a przygotowanie te musi się odbywać w ramach szkoły polskiej, w organizacjach szkolnych, w których pod kierownictwem swych wychowawców macie możność pracować. Jedną z tych organizacji jest nasza „Filarecja".

Jako kurator „Filarecji" mam możność przyglądania się tej Waszej pracy i krytycznego jej oceniania

Na podstawie więc długich obserwacji stwierdzam co następuje:

Ogół członków naszej organizacji odnosi się do niej dosyć biernie. Przychodzi do czytelni, gra w szachy i t. d., ale we właściwej pracy organizacyjnej prawie żadnego udziału nie bierze.

Są i tacy, którzy w tej pracy organizacyjnej przeszkadzają.

A tylko mała garstka więcej rzutkiej młodzieży zajmuje się sprawami organizacyjnemi z pewnem zamiłowaniem.

O tych tylko mi mowić wypada, aby praca ich była więcej owocną, aby oni zdołali pociągnąć do współpracy jak najszerszy ogół swoich kolegów.

Przedewszystkiem chciałbym zwrócić uwagę na to, jakie wrażenie odniosłem na ostatniem walnem zebraniu „Fileracji", które powinno było wszystkim członkom uprzytomnić powagę chwili, boć przecież chodziło o to, aby niedołężny zarząd zeszłoroczny, który nawet bez sprawozdania ustąpił, zastąpić ludźmi pracy.

Tymczasem ile potrzeba było wysiłków, aby do nowego zarządu wybrać członków, którzyby pracą umiejętnie pokierowali.

Zamiast sumiennego odważania przyszłych obowiązków widziałem dużo ambicji, nie mającej żadnego usprawiedliwienia w dotychczasowej pracy niektórych kandydatów, ubiegających się o stanowiska w nowym zarządzie, słyszałem bardzo dużo krytyki— a prawie żadnej propozycji realnej dla uregulowania pracy przyszłego zarządu.

Podnosiła czasem głowę zupełnie nieuzasadniona niechęć do kolegów, których wartość moralna dawała gwarancję, że praca ich będzie owocną dla naszej organizacji.

Ambicja osobista dominowała nad poczuciem obowiązku nad przekonaniem, że przynależność do zarządu jest nietylko zaszczytem, ale wymaga bardzo wiele tej zwykłej, szarej pracy codziennej.

Z takim stanem należy w przyszłości zerwać. W takich warunkach żadna praca społeczna dodatnich rezultatów wydać nie może.

W pracy społecznej ambicja jednostki, o ile jest uprawniona odgrywa bezsprzecznie wielką rolę, należy ją też właściwie uszanować, ale nie wolno pozwolić na to, aby ambitne a nie nadające się do pracy jednostki, wstrzymywały normalny rozwój organizacji.

Bo praca społeczna tylko wtedy dobre wyda owoce, jeżeli nią kierować będą ludzie odpowiednio chętni i zdolni, i jeżeli w zespole tych ludzi będzie panowała absolutna zgoda.

Każdy dodatni wysiłek pracującej jednostki powinien być przez jej spółpracowników poparty z całą stanowczością, dopiero wtedy praca ta przybierze znamiona pracy społecznej, stanie się coraz to więcej potężną i wyda bujne owoce.

Pierwszym więc warunkiem udania się pracy społecznej jest zgodność w pracy.

Niezgoda zabija w pracy społecznej wszelkie najszlachetniejsze poczynania i nawet u nadających się do tejże pracy jednostek wywołuje niechęć do dalszej pracy.

Potrzeba wtedy dopiero długich doświadczeń z ludźmi nieudolnymi, potrzeba namacalnych dowodów, że nieudolny człowiek wszelką pracę owocną tylko wstrzymuje, aby po długich wahaniach nawrócić z błędnej drogi i zaczynać od samego początku.

Wrogowie nasi nieraz o nas głoszą, że Polacy nie są narodem państwotwórczym, i jako dowód prawdziwości swojego twierdzenia wysuwają fakt niezgody w naszej pracy społecznej.

Ciąży więc na nas obowiązek pokazania światu, że umiemy się rządzić i państwo nasze nietylko utrzymać ale i rozbudować.

Będzie to zależało w wielkiej mierze od uspołecznienia młodzieży naszej szkolnej, która niezadługo będzie musiała stanąć do współpracy społecznej obok starszego pokolenia.

Od intensywności pracy społecznej przygotowujących się do niej pokoleń zależy rozwój i potęga Rzeczypospolitej Polskiej.

Józef Jentsch
Kurator „Filarecji".

NA MARGINESIE.

W Noc Wigilijną.

Na pasterkę dzwonią dzwony
W wigilijną noc...
Idzie ludek rozmodlony
Chwalić Boską moc...

A w tym ludzie rozmodlonym
Był staruszek dziad,
Przed Chrystusem umęczonym
Krzyżem na twarz padł.
I tak leżał w swej pokorze
Zdało się, że śni,
Lecz on czasem wzdychał; — „Boże!
Boże, dzięki Ci!"
Hej! Rodacy moji mili!
Ten staruszek dziad,
Na obczyźnie, o tej chwili
Śnił przez wiele lat.
Gdzie Syberja leży sroga,
Tam się modlił on...
Prosząc o śmierć, Pana Boga
W śród rodzinnych stron!

. . . .

Już lud odszedł rozmodlony
Z przed ołtarza krat...
Został Chrystus umęczony,
Przed Nim martwy dziad... **St. Konars.**

Z POLESKICH KNIEJI.

Stał sobie dąb staruszek pośrodku boru wielkiego, a w cieniu rozłożystych jego konarów drzemała, na wpół już wrosła w ziemię, chatynka.

I dobrze im było ze sobą.

Czasem bywało, gdy wicher z okropnym chichotem wdzierał się pod wyniosłe konarów sklepienie, aby zniszczyć wszystko nędzne i słabe, dąb staruszek pochylał się czule ku owej chatynce i zzieleniałą od starości strzechę osypywał rzęsistym deszczem liści, jakby chcąc ją osłonić przed złego losu kolejami.

A chatynka ta miała mieszkańca...

Był nim stary myśliwiec Iwańczuk.

Odkąd ją zamieszkiwał, wiedział tylko on, Pan Bóg, a może i ów dąb staruszek mógł coś o tem powiedzieć?

Latem Iwańczuk rzadko przebywał w swoim domostwie, bo kiedy wiosenne słońce cieplej zagrzało, a lody z szerokich błot poleskich spłynęły, to go coś tak do boru ciągneło, że nawet w nocy do domu nie wraeał.

Zwykle bywało, że jak z wieczoru na podsłuchy głuszczowe w gęstwinę się zaszył, to tak się w muzykę puszczy zasłuchał, że o Bożym świecie nie wiedząc, rana doczekał.

Ludzi jak mógł unikał.

Czasem tylko czółnem, co je sobie z kory sporządził. do miasta pływał, skóry ze zwierząt rozmaitych sprzedał, prochu i ołowiu nowy zapas kupił i czemprędzej powracał na łono przyrody, co go gościnnie przyjmowała, odziewała, karmiła, i żył sobie wolny jak ptak... I zdało się, że nic mu do szczęścia nie brakuje.

Zato w długie zimowe wieczory, gdy pośrodku izby ogień trzaskał wesoło, a czarne kłęby dymu buchały równym słupem ku otworowi wyciętemu w pułapie, siadał stary na ławie, głowę na dłoni wspierał, lulkę kurzył, w ogień patrzał i dumał...

A właśnie był taki wiecsór zimowy, w którym to w większości domów w Polsce brzmi pieśń na cześć Zbawiciela, co się narodził, aby męką Swoją odkupił świat. Wszędzie radość, wszyscy się cieszą, śpiewają, weselą, a on co? Siedzi oto jak zwykle na ławie, przed nim dogorywa ognisko, a przez zadymione okienko sączy się mętne światło miesiąca.

Siedzi Iwańczuk i duma...

I duma o tem, że jednak i on mógłby dzisiaj, zamiast tu siedzieć smutny, rozgrzewać swoją starość przy cieple rodzinnego ogniska.

Hej! Dużo by o tem gadać!

Oto wspomni te czasy, kiedy, wyrostkiem będąc, odziedziczył po ojcu gospodarkę. Wszystko miał we wsi najlepsze, i pole najsuchsze, i chatę obszerną, i wszystko mu się wiodło jak z płatka. Dziewczynę poleską, córkę sąsiada, pokochał, żenić się miał.

Aż przyszedł rok...

Pamiętny rok 1863-ci, w którym to naród polski chwycił za broń, aby z rzucić z siebie gniotące jarzmo niewoli. Zadzwoniły trąbki „do broni"! A dźwięk ich srebrzysty dotarł na skrzydłach wiosennego wiatru do owych błot poleskich i znalazł oddźwięk w zapadłych wioskach.

Szli inni, poszedł i Iwańczuk. Poszedł, mścić się za ciemiężoną ziemię i prześladowaną wiarę swych ojców!

Narzeczona zapłakała, medalik z Matką Boską Ostrobramską na szyi zawiesiła, i poszedł do lasu! do partji!

I zdarzyło się pewnego razu, że po długich bojach szedł z partją na odsiecz swej własnej wiosce.

I oto, na tle palącego się sioła, ujrzał, jak rozhukany koń kozacki włóczył po polach krwawiącego trupa jego dziewczyny!

W sercu Iwańczuka zawrzało.

Nie była to rozpacz, gdyż to uczucie obce jest w twardem sercu poleszuka, tylko straszliwa, głucha, zawzięta chęć pomsty!

I mścił się strasznie w ciągu całej tragedji powstańczej, aż w końcu, po licznych i zawziętych bojach, poranionego straszliwie pozostawiono w lesie na pastwę losu.

Dobrzy ludzie go znaleźli i wyleczyli, lecz w obawie odpowiedzialności znowu do puszczy wysłali. A nie było już wracać do kogo, bo brutalna przemoc moskiewska zdusiła święty zapał młodzieży polskiej, aby tem mocniej zacisnąć niewoli kajdany. Więc cóż miał począć? Do ludzi wracać nie mógł, bo by go moskale znaleźli, więc i pozostał w borze.

Aż razu pewnego, gdy rankiem wiosennym podkradał się do głuszca, co snuł swą pieśń miłosną z wysokiego dębu, dziwne mu ta pieśń wzbudziła w duszy uczucia. I oto przyszło mu na myśl podanie... stare podanie, że dusze umarłych w głuszce bywają zaklęte.

A gdy się zaczął lepiej w ową pieśń wsłuchiwać, poznał w niej łkanie duszy swojej ukochanej.

Pod owym to dębem wybudował chatkę i tu pozostał.

A ptak królewski nie strwożył się obecnością człowieka.

I corocznie w przeczyste ranki wiosenne płynęła z zielonego dębu pieśń zaklętej w głuszczu duszy niewinnej ofiary...

St. Konars.

Kościół N. M. Panny.

Po skasowaniu 1873 r. kościółka O. O. Pijarów dawał się uczuć wielki brak świątyni, gdyż już 1880 r. parafja radomska liczyła 20.000 wiernych. Wskutek tłoku w kościołach. Pobernardyńskim i Farze zdarzały się wypadki zemdlenia a nawet zgniecenia. Część Parafjan chciała powiększenia i odnowienia kościołka Św. Wacława na Starym Mieście, druga zaś część budowy nowej świątyni. Po pewnym czasie wszyscy zgodzili się na to drugie, lecz wszystkie usiłowania rozbijały się o brak funduszów. Dopiero w 1898 roku dzięki ofierze Józefy Łąckiej w ilości 20,000 rb. zostało uzyskane pozwolenie na budowę kościoła sposobem gospodarczym, według planu inżyniera Dziekońskiego i kosztorysu na sumę 86,163 rb.

Został utworzony komitet budowy nowego kościoła, w skład którego weszli; prezydent J. Zaremba, ks. Urbański, ks. Puławski, Konstanty Luboński, Ettinger, dr. Płużański, Dębowski, Załuski i inni.

Komitet ten powierzył prowadzenie robót inżynierowi Dziekońskiemu. Materjał budowlany sprowadzano wprost z fabryk w wyborowych gatunkach. Na roboty mularskie, ciesielskie i blacharskie komitet urządził konkursy.

W marcu 1899 r. założono fundamenty, z piaskowca i kamienia polnego. 1 października zostały one uroczyście poświęcone przez biskupa Sandomierskiego ks. Antoniego Sotkiewicza.

Z wiosną, z koleji mury zaczęto wznosić i wykładać cegłą okładkową, jasno-żółtą, sprowadzaną z Siegersdorfu, zaś wszystkie gzymsy, okna, skarpy i występy przystrojono piaskowcem szydłowieckim. W końcu zbudowano dwie wysmukłe wieże 72 metry wysokie z cegły i wiązań żelaznych, pokrytych miedzią, i dach pokryty dachówką. Nowy kościół zbudowany został w stylu gotyckim nadwiślańskim, w kształcie krzyża z trzema nawami, główną i dwiema pobocznemi, i z nawą poprzeczną, kaplicą pogrzebową i zakrystją. Główne wymiary są następujące: długość nawy głównej od wyjścia do prezbiterjum—41½ metrów, szerokość od środka filarów 11 m., wysokość 22 m. Długość każdej nawy bocznej—25 m., szerokość—6 m.

Z Warszawy został sprowadzony ołtarz główny i ambona. W ołtarzu znajduje się statua N. Marji Panny z Dzieciątkiem Jezus, rzeźbiona w białym marmurze. Zasłania ją kopja obrazu Rafaela.

Na dwa ołtarze boczne ofiarował Karol Staniszewski 10,000 rb. Od początku na budowę płynęły ofiary. Między innymi przeznaczyli na budowę następujący wierni; Karol Staniszewski—10,000 rubli. Ks. Urbański—1,000 rb., Konstanty Luboński—500 rb., Krasnodębski—150 rb., Przyłęcka—100 rb., ks. Piontek—100 rb.

Lecz głównym ofiarodawcą i fundatorem był Konstanty Mirecki, który prócz ofiarowanych 30,000 rb. na budowę wież, zapisał na budowę kościoła 60,000 rb.

Prócz tych darów ludzi bogatszych, każdy prawie wierny starał się w budowie kościoła dopomódz. Tak naprzykład wydział mechaniczny warsztatów kolejowych ufundował witraże w nawie bocznej i robotnicy Marywilu posadzkę w zakrystji.

Po wielu wysiłkach stanął wreszcie kościół, który swoim ogromem i majestatem, swojemi wysmukłemi wieżycami wywiera na nas wielkie i podniosłe wrażenie.

Medard Wojciechowsk..

RADOM

(Urywek z opisu miast starożytnych ziemi Sandomierskiej przez Jana Nepomucena Chądzyńskiego. Warszawa 1855 r.)

(Dalszy ciąg).

Do wzrostu i pomyślności Radomia wiele przyczyniło się ustanowienie Trybunału Skarbowogo w tem mieście roku 1613, do czego następujący był powód. Pod panowaniem Zygmunta III wojsko niepłatne, w ciągłych zostając bojach, sprzykrzyło sobie bezużyteczne walki, i dalekie marsze w nędzy i głodzie odbywane. Zrobiły się więc trzy konfederacje wojskowe, jedna pod Józefem Cieklińskim, osiadła we Lwowie; druga Sapieżyńska rozłożona w Brześciu-Litewskim, pod Wacławem Pobiedzińskim i Janem Żalińskim; trzecia z wojska królewskiego, pod Smoleńskiem zawiązana, a do Bydgoszczy ściągająca się. Tak więc

otoczona Polska własnemi wojskami, które najzaciętszemi stały się jej nieprzyjaciołmi, śpiesznie myśleć zaczęła o odwróceniu burzy, grożącej jej straszliwem zniszczeniem. Zebrani do Warszawy na Sejm posłowie, dla zapłacenia wojskom zaległego żołdu, ustanowili w Radomiu Trybunał wojskowy, zwany Komisją Radomską, z mocą karania niechcących płacić podatków; jako też poborców, którzy wybrawszy podatki, takowych do Skarbu nie wnieśli; a obok tego temuż Trybunałowi sprawy buntujących się wojskowych sądzić nakazano. Zbierał się każdego roku na sześć tygodni, pod prezydencją jednego z biskupów, i marszałka z senatu lub stanu rycerskiego wybranego. Zasiadało w nim kilku senatorów przez króla wyznaczonych, 30 komissarzy na sejmikach gospodarczych obranych; 2 komissarzy od wojska narodowego, i jeden od cudzoziemskiego trybu czyli autoramentu. Zgromadzenie się co rok tak licznych dygnitarzy do Radomia, wielkie temuż miastu przyniosło korzyści, i powiększyło jego zabudowania: wielu bowiem z deputowanych, miało w niem swoje dworce, łaźnie i piękne ogrody.

Nie długo przecież trwała ta pomyślność Radomia; roku 1628 wynikł w nim pożar i do tego stopnia zniszczył, że tylko pozostało domów 84. Zamek takoż w tym czasie znacznej reperacji wymagał, był murem w około opasany i wałem obwiedziony, składał się z dolnych i górnych gmachów; wojna szwedzka dotkliwszy jeszcze cios zadała Radomiowi. Karol Gustaw król Szwedzki wypędziwszy z Polski Jana Kazimierza, rozumiał się być panem całego kraju; pozostawił przeto małe tylko załogi w ziemi Sandomierskiej, a sam z wojskiem kwarcianem pod komendą Aleksandra Koniecpolskiego, które mu przysięgę wierności złożyło, i z innemi pułkami szwedzkiemi, przy końcu roku 1655 ruszył przez Radom do Prus, przy wierności królowi Polskiemu zostających. W Radomiu na zamku przedstawili mu się znakomitsi panowie Sandomierscy, na czele których był Andrzej Morsztyn stolnik Sandomierski, żądając, aby Sejm elekcyjny złożył i prawa narodowi polskiemu zaprzysiągł; ale Karol odpowiedział im, że elekcji nie potrzebuje, gdy na mocy zwycięstwa, może być i jest już królem narodu i ich panem, a pałaszowi swemu winien wybór na tron.

Nie trafiła do serca panom Sandomierskim odpowiedź Ka-

rola, zaraz przeto po oddaleniu się jego z Radomia, naradziwszy się w temże mieście wysłali Stanisława Witowskiego kasztelana do Tyszowic, aby tam wiążącej się konfederacji na obronę Jana Kazimierza imieniem Sandomierzan oznajmił przystąpienie ich do tejże konfederacji; a do króla w Opolu na Szląsku bawiącego, udał się Morsztyn, aby go zniewolić do powrotu w granice Polski, i zapewnić o wierności Sandomierzan.

Następującego roku 1656, w miesiącu Styczniu, Tomasz Zamojski z Piotrem Czarnieckim po odpędzeniu Szwedów od Częstochowy, idąc z oddziałem przez Radom, dla połączenia się z Stefanem Czarnieckim, w Lubelskiem wojsko zbierającym; załogę szwedzką położywszy trupem, kilkudziesięciu Szwedów z zamku Radomskiago wyrzucili.

Karol Gustaw, uwiadomiony o powrocie Jana Kazimierza do Polski, ruszył z pod Malborga z 10,000 jazdy, i w przechodzie przez Radom pod Kazimierz dla przeprawienia się tam przez Wisłę, w miesiącu Lutym 1656 roku, mszcząc się za wyrzucenie i pobicie swojej załogi z Radomia, miasto to zrabować i spalić rozkazał.

W miesiącu Kwietniu ciągnął znowu przez Radom z pod Sandomierza ku Warszawie, a roku następnego w miesiącu Marcu szedł z wojskiem od Warszawy ku Opatowu, gdzie potem połączywszy się z Jerzym Rakoczym książęciem Siedmiogrodzkim, u Zawichosta przeprawił się za Wisłę.

Po wojnie szwedzkiej, Radom do tego stopnia zniszczonym być się okazał, że tylko 37 liczył domów. Zamek był mocno zdezylowany, na reperacją którego przeznaczono złp. 400 rocznie, aż do zupełnego odnowienia go, jakoż dopiero roku 1780 przez starostę Aleksandra Potkańskiego odreperowany został; wedle bowiem lustracji z roku 1789, stał frontem ku farze z dziedzińcem w około murem otoczonym, dachem nowym nakryty, z dwóch sal, w których miał posiedzenia swe Trybunał, urządzono dziesięć pokoi, wewnątrz malowanych, przy bramie istniała kamienica o piętrze. Wieża o dwóch piętrach z gruntu wyreperowana, na górze tej wieży, urządzone były na każdym piętrze po dwa pokoje, a in fundo (w głębi) izba dla zbrodniarzy; do zamku za fosą na podwalu należał spichlerz i suszarnie. Nieco dawniej przed wyreperowaniem zamku, po prawej stronie

była w nim izba sądowa o 13 oknach, na lewej stronie dwie izby i schowanie na kancelarję, dalej dwie izbetki na archiwum grodzkie, w środku dziedzińca dworek o czterech izbach i kramic 12.

Po wojnie szwedzkiej nieco zabudował się Radom, powstał w nim wspaniały kościół Pijarów roku 1685 przez Marcina Wąsowicza, stolnika Zakroczymskiego wystawiony, i odtąd zaczęły w nim istnieć szkoły przez tychże pijarów utrzymywane, lecz zawsze liczył się do podrzędnych miasteczek. Roku 1765 rachowano w nim domów 135, dwóch szynkarzy winnych, kilku miód szynkujących, piekarzów 14, szewców 12, prasołów czyli solą handlujących 3, i kramarz 1.

Główną przeszkodą do wzrostu Radomia była powtórna wojna szwedzka przez Augusta II z Karolem X królem Szwedzkim roku 1701 rozpoczęta: ciągłe przechody wojsk szwedzkich, polskich i saskich do wysokiego stopnia ubóstwa doprowadziły mieszczan, że żaden z nich nic o pomnożeniu majątku, a tem samem przyozdobieniu miasta, lecz o własnem wyżywieniu i swych dzieci mógł myśleć.

Zwinięcie Trybunału Radomskiego uchwałą Sejmową roku 1764, ostatni cios zadało miastu, znikł handel i przemysł, bo nie było przybyszów, którzyby go pieniędzmi zasilić mogli.

(Dalszy ciąg nastąpi).

Z zwrażeń świątecznych.

„I skończyły się piękne dni Aranjuezu", trzeba znów o 7-ej rano się zrywać i śpieszyć do szkoły.

Skończyły się dni jedzenia, picia i spania i trzeba brać się do pracy. Cóż zrobić? Smutne to, lecz prawdziwe.

Ale sztubak ma twardą duszę, bo i czegóż on nie przecierpi. Jeżeli już wytrzymał w przeciągu jednego miesiąca 2 przedstawienia „komedji" szekspirowskiej „Makbeta" i tyleż przedstawień „dramatu" Fredry p. t. „Śluby panieńskie", to już, jak Pismo Święte mówi, „bramy piekielne nie zwyciężą go".

Obecnie wkraczamy po ferjach Bożego Narodzenia w okres chorób żołądkowych i kieszeniowych, lecz w górę czoła, zbliża

się karnawał. Zatem zwracam się na łamach tego pisma do wszystkich czytelników i nadobnych czytelniczek, bo innych pewno niema, z prośbą, aby zbytnio się nie trapili tem, że znów wracają do szkoły, bo i mnie ciężko na duszy i żołądku, a lekko w kieszeni, a jednak musiałem kupić atramentu, który przez święta „wziął i wysechł”, uważając że i on powinien mieć swe ferje, i piszę do was te słowa pocieszenia. Zatem niech was panowie profesorowie mają w swej opiece, nie zbierajcie w tym Nowym Roku złych stopni, miejcie wiele zdrowia, uśmiechów, a co najważniejsze — monety, a zobaczymy się wszyscy w karnawele, co daj Boże, Amen! *Jerzy Olsz.*

NAJMŁODSZA POLSKA.

Tęsknota do słońca.

Oto gdzieś na horyzoncie
Widać słońce zachodzące.
Ono chowa się za góry,
Poza czystych rzek lazury.
Jakże smutno jest bez niego,
Jak ciemnieje zaraz niebo,
I jakże dusza człowieka
Z drugiej strony słońca czeka.
Ono wróci! Ono wróci!
I cierpienia nasze skróci,
I serc naszych nie zasmuci.
Ono wróci! Ono wróci!...

St. Szn.
uczennica kl. II gimn. Marji Gajl.

Prasa radomska o przedstawieniu „Ślubów Panieńskich“.

Wystawione przed świętami przez zespół amatorów „Filarecji” i amatorek gimn. Marji Gajl „Śluby Panieńskie” udały się zupełnie dobrze. Powodzenie to zawdzięczają amatorzy i ama-

torki sumiennej swojej pracy, mają więc jeden dowód więcej na to, że sumienną pracą zawsze w życiu powodzenie zdobyć sobie można.

O przedstawieniu naszem pisze w miejscowym głosie p. mec. Wigura, co następuje:

„Godz. 7 wieczorem — niedziela. Co robić z resztą wieczoru? Któż z Radomiaków nie zadawał sobie o tej godzinie tego pytania—i któż nie rozglądał się w porozlepianych olbrzymich afiszach kinematograficznych, śród których niekiedy dostrzedz się uda żądnemu rozrywki przechodniowi skromnie w kąciku przyklejony afisz teatru „Rozmaitości”. Co dziś grają? Przyglądam się afiszom i czytam:

„Śluby Panieńskie — czyli magnetyzm serca” komedja w pięciu aktach wierszem, Aleksandra Fredry.

O przedstawieniu tem już słyszałem na mieście. Przedstawienie amatorskie, to najgorsza „piła” dla każdego redaktora-sprawozdawcy. W dodatku — w wykonaniu młodzieży klas najstarszych gimnazjum żeńskiego panny M. Gajiówny i tutejsz. Gimnazjum męskiego. Idę więc skwaszony i zły, z takiemi uczuciami w sercu, jakie mniej więcej ma każdy maszynista kolejowy, udający się przed drogą na swoją maszynę, lub urzędnik bankowy w drodze do swojej „budy”. Śledzionę mam stanowczo w danym wypadku powiększoną. W dodatku — jestem spóźniony. Trafiam na koniec I-go aktu i z rezygnacją zaczynam się przysłuchiwać scenie, w której 18 letni w naturze Gustaw bawi rozmową o pogodzie i przekomarza się z 16 letnią w naturze ognistą Klarą, w obecności poetycznego i wiecznie załzawionego Albina, w naturze nie wiele od Gustawa starszego — istnie anielskiej Anieli, której 15-letniej wiośnie życia napróżno usiłuje dodać nieco lat i powagi stylowa długa sukienka—i nie o wiele starszej od siostrzenicy swojej, cioci Dobrójskiej. Przyglądam się tedy z całym sceptyzmem krytyka, który niczego się już od sztuki nie spodziewa. Ale, rzecz dziwna! W miarę jak słucham, powoli zacierają mi się w pamięci już tyle razy widziane ze sceny amatorskie produkcje „Ślubów Panieńskich”. Powoli wrasta mi w świadomość coś nowego w tej całej imprezie amatorskiej, coś, co przykuwa myśl i uwagę tą właśnie nowością.

Powoli zapominam zupełnie, że to przecież grają uczniowie i uczenice szkół średnich — i udziela mi się nastrój publiczności, która zrazu jakby z uśmiechem pobłażliwej grzeczności i życzliwej zachęty, a potem już zupełnie na serjo, a nawet z przejęciem darzy młodocianych amatorów salwą oklasków po każdem zapadnięciu kurtyny.

Tą fascynującą nowością jest sam pomysł, na który wpadł główny reżyser sztuki p. prof. Jentsch.

Pomysł rzeczywiście śmiały, nawet ryzykowny. Każdy z nas wie, ile kosztuje tremy, nawet dorosłego amatora, pierwszy występ w pełnem świetle kinkietów teatralnych, — i ile trzeba nieraz silnej woli, aby opanować to specyficzne wzruszenie, które wtedy nieraz więzi głos w gardle i często zupełnie zamracza pamięć. Co dopiero, gdy trzeba opanować pamięcią „kwestje" rymowane Fredry.

Tymczasem stało się coś wręcz przeciwnego. Uważny widz odnosił wrażenie, że to nie młodociani aktorzy, lecz przeciwnie — publiczność raczej ma tremę: „czy aby się uda". Ale ta trema szybko opuściła widzów. Krótko mówiąc—pomysł się udał — i udał doskonale, tak doskonale, że „najśledzienniejsza" nawet publiczność musiałaby walić brawo dzielnym amatorom i amatorkom ze szkolnej ławy. Gra miejscami — szczególniej sceny pomiędzy Gustawem i Klarą — była wprost brawurowa. Ubiory i dekoracja sceny (naturalnie w granicach możliwości radomskich) — nawet w szczegółach — dociągniete do epoki „Ślubów Panieńskich (1833 r.). Słowem — młodzież szturmem zdobyła sobie serca publiczności, a p. prof. Jentsch — zasłużone uznanie".

Niemniej pochlebną była recenzja drugiego miejscowego pisma „Słowa". Nie przytaczam jej w dosłownem brzmieniu, ponieważ recenzent "Słowa" zapomniał o tem, że „Śluby Panieńskie" grali uczniowie a nie zawodowi artyści i recenzję swoją zbytnio wyspecjalizował.

J. J.

Na Nowy Rok.

Oto mamy Nowy Rok,
Ku przyszłości znowu krok.
Z nim popłynie życie w dal,
Nakształt owych wodnych fal.
Pójdzie dalej życia ciąg
Pełen szczęścia albo mąk.
Zada może wiele ran,
Zaprowadzi dużo zmian.
Już niedługo przyjdzie czas,
Kiedy będą sądzić nas,
Różnych stopni spadnie deszcz,
Aż przejmuje zimny dreszcz.
Potem lato. Słońca żar.
Deszcze, grzmoty, upał, skwar.
Wtedy precz z widokiem ksiąg,
Dość już było z nimi mąk.
A gdy minie pora ta,
Iść do szkoły każdy ma.
Tak upływa każdy rok,
Dążąc wciąż w przyszłości mrok.
Zostawi też taki ślad,
Jak i wiele innych lat.

Fis.

Sprawozdanie kasowe z przedstawienia „Ślubów Panieńskich".

Dochód	1,281 zł. 55 gr.
Rozchód	820 „ 40 „
Czysty zysk . .	461 zł. 15 gr.

Czysty zysk został podzielony w równych częściach na „Bratnią Pomoc" gimn. Marji Gajl i „Filarecję" gimn. państw. im. „J. Kochanowskiego". *Józef Jentsch.*

PRAWDZIWE ZDARZENIE.

(Z teki redaktora).

Stali naprzeciw siebie.

Jeden wysoki, barczysty, piękny mężczyzna, o dużych myślących oczach, z arkuszem w ręku czytał coś

Twarz jego żywa, nerwowa, zdradzała w tej chwili niezadowolenie i znudzenie.

Drugi mały, nizki i krępy, niemal karzełek przy pierwszym, bez najmniejszego wyrazu twarzy — stał cicho, spokojnie, bez ruchu. Czekał...

A tymczasem oczy pierwszego dobiegały końca arkusza. Machnął wreszcie ręką, cisnął zniecierpliwiony arkusz papieru na biurko i wzruszył ramionami.

— Ach! I to codzień się prawie powtarza! Ileż to straty czasu na darmo! Tyle zmarnowanego atramentu, tyle papieru, tyle czytania! Nie, ja tego nie mogę przyjąć do numeru!

Począł chodzić wielkiemi krokami po pokoju. Po chwili, wziął znowu arkusz do ręki i przejrzał raz jeszcze. Znów wzruszył ramionami i zbliżył się do tamtego:

— Ależ tu i korekty zrobić nie można! Trzebaby zmienić tytuł, styl, uzupełnić braki, wykreślić resztę i przepisać na nowo!...

Spojrzał nań ukradkiem, lecz obojętnie.

A tamten stał nieporuszony, wciąż niemy jak głaz. Żaden muskuł twarzy mu nie drgnął, nie rzekł ni słowa, stał tylko i słuchał.

— Tyle spraw mieć na głowie, i jeszcze to nudne odczytywanie tych stosów papieru! To już świętą cierpliwość wyczerpać może. Jeden na sto zaledwie nadać się może do druku, ale przeczytać trzeba wszystkie, choćby do nocy.

Spojrzał na zegarek.

— Nie, to już za wiele!

Zwinął ze złością arkusz w olbrzymią kulę, spojrzał w stronę tamtego i cisnął weń papierem...

Kula odbiła się o jego piersi.

I nagle, ten milczący i dotąd jak głaz nieruchomy drgnął, i odskoczył nieco w tył...

Ale pierwszy, podbiegł szybko do drzwi, i trzasnąwszy niemi głośno, wypadł na korytarz...

Powstał ruch.

Po chwili do pokoju wpadł służący, ze śmietniczką i szczotką do zamiatania w ręku. Stanął sekundę za biurkiem, gotowy każdej chwili do puszczenia w ruch szczotki, skierowanej w stronę tamtego...

Potem, nie spuszczając zeń oka, błyskawicznym ruchem zmiótł kulę papieru do śmietniczki, i pochwyciwszy go w pół, przekręcił do góry nogami...

Był to bowiem... Stary kosz redakcyjny... *Hanka.*

Sprostowanie: W numerze 3 „Filarety" na str. 52 wydrukowano wskutek nieuwagi korektora zamiast Rodoć — Rajski.

Wydawca i redaktor odpowiedzialny Józef Jentsch—Radom, Pl. 3 Maja 1.

DRUK J. GRODZICKI I S-KA, RADOM 4087 6-25